



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KRÓLOWA NIEBIOS.

Zanim szereg pięknych odczytów p. Maryana Gawalewicza „Królowa Niebios“ ukaże się w druku zebrany razem, czytelnicy nasi, którzy słyszeć ich nie mogli, zapewne chętnie zechcą się zapoznać z ich poetyczną treścią, osnutą na tle podań i wierzeń ludowych, urodzonych z żywej wiary i tej rodzimej fantazyi wieśniaka naszego, która maluje wyobraźni jego obrazy zaświatowego życia duchów świętych, lub przeklętych. Matka Boska ukazuje mu się zawsze jako łaskawa opiekunka, orędowniczka człowieka; wszystko, co w naturze kobiety tkliwość jest i słodyczą — dobrocią przebaczącą winy, podającą rękę temu co cierpi, co smutne jest i pomocy potrzebujące, wciela on sobie w tę Dziewicę bez zwały, która dała światu Zbawiciela i czyni z Niej orędowniczkę, do której wszysej smutni, zmęczeni, pomocy potrzebujący — wszyscy, którzy cierpią, zwracają się śmiejąc, niżeli do Boga, królującego na wysokości niebios. Stachiewicz w szeregu ślicznie wziętych obrazów odtworzył te naiwne, w prostocie swej pełne poezyi marzenia, które Gawalewicz nazwał „orzeźwieniem serc spragnionych czystszych, idealniejszych wrażeń“ i — tak malarz, jak poeta, gdyż tak nazwać tu trzeba Gawalewicza, skreślił doskonałą charakterystykę religijnej poezyi naszego ludu, zawierającą się w cześć Najświętszej Panny, która przedstawia mu ideał kobiecości: czystość Dziewicy bez zwały i zarazem kobietę Matkę.

I jest ona zawsze dla niego „łaski pełna;“ ukochał ją też sercem całym i marzy o niej, tworzy poetyczne baśnie, w których ukazuje mu się w jasnościach chwały niebieskiej, królująca wśród

aniółów w pałacu niebieskim, zbudowanym z drogich kamieni z dyamentów błyszczących wszystkimi barwami tęczy. Wiedzie do niego bram siedem; główna, której strzegą święci apostołowie: Piotr i Paweł, prowadzi wprost do Nieba; do Boga Ojca, który trzyma Najświętszą Pannę na kolanach. Przecież co środa i sobota opuszcza ona ten przybytek chwały i jasności wiekiwej, schodzi do czyśćca, który mieści się wśród dzikich, posępnych skał a jest piaszczystym, nagim rozłogiem gdy Najświętsza Panna wstępuje tutaj, pokutujące dusze wołają radośnie: „Bądź błogosławiona, roso niebieska.“ Wyciągają też do niej ręce, a Najświętsza Panna wybiera zawsze jedną z tych dusz pokutujących i prowadzi ją do rajn przez most cudowny, rzucony po nad otchłaniami piekielnymi.

Bóg Ojciec stworzył ziemię z garści piasku, który kazał szatanowi przynieść z głębi dna morskiego wtedy, gdy żywioły nie były jeszcze oddzielone od siebie, tworząc chaos. Szatan chciał też mieć swój udział w tworzeniu ziemi: nabrał w usta piasku i wyplunął go na ziemię, utworzoną przez Boga, z kąd powstały błota, kępy bagniste, trzęsawiska. Ziemia była po wyjściu z rąk bożych jaśniejącej białości, przejrzysta jak kryształ, i dopiero, gdy stał się na niej grzech pierwszy, gdy Kain zabił Abła, gdy pogrzebał w niej jego zwłoki, ziemia okryła się barwą żałoby — zczerniała i już nie daje człowiekowi oglądać tego, co kryje w łonie swoim. Ale Najświętsza Paniienka zlitowała się nad biednymi ludźmi, którzy mieli odtąd żyć wśród posępnie jednostajnego widoku barw ponuro smutnych, i na jej to prośby Bóg pozwolił słońcu, aby siłą jego gorących promieni zazieleniła pola i łąkę, lasy okryły się liściem a kwiaty, rozwijając korony swe i kielichy, roznosiły woń i dawały człowiekowi widok piękności, która wzrusza go i rozbudza w nim poezyę — nie pozwalał zadawać się materyalnym tylko dobrobytem.

Podnosi on też wtedy wzrok ku górze i zapatrzony w przestwory błękitów marzy, a gwiazdy ukazują mu się tam jako strażniczki ludzkości, wśród których każdy człowiek ma opiekunkę swoją, która wchodzi na błękity w chwili, gdy dusza jego zostaje zesłana na ten świat ziemski, a gaśnie, skoro śmierć zamyka mu oczy. Duchy Świętych przebywają na słońcu; S-ty Jerzy, który był rycerzem mężnym i zgładził smoka chcącego pożreć niewinną dziewczę, córkę czarnoksiężnika, panuje na księżycu, gdzie przybywają do niego inni święci i radzą o losach ludzkich, a droga mleczna to odbicie świetlane tej ścieżki, którą Matka Boska szła na Kalwaryę. Całe życie Dziewicy otacza poezya ludu, który naiwnie wiąże wspomnienie o niej z tem wszystkim, co wśród natury jest dobroczynnem dla człowieka. Len, ziele z którego wyrobione włókno daje mu pierwsze okrycie jego nagości — koszulę, to dar Matki Boskiej; objawiła się ona jednej pobożnej a ubogiej dziewczynie i pokazała jej wśród łąki modre kwiatki na wysokich, cienkich łodygach i nauczyła jak len siać, moczyć w wodzie i miedlić, potem prażyć włókno, tkąć je cierpliwie w krosnach.

Rzeka ognista, jak Flegeton Greków, odgranicza niebo od czyśćca. Wążka kładka, rzucona przez jej koryto, to droga, przez którą dusze oczyszczone pokutą za grzechy dopuszczone są do szczęścia wiekiwego w przybytku Niebios. Raz do roku w dniu zadusznym, dusze powracają na ziemię i o północy słuchają mszy świętej, którą odprawia kapłan nieznanym nikomu — kapłan-duch. Dusze ludzi zmarłych bez spowiedzi, więc bez rozgrzeszenia i zmazania win swoich przez pokutę, błakają się po ziemi: kryją się wśród ruin, po cmentarzach i miejscach odludnych, przejęte trwogą, aby nie poszły na dno piekła, gdzie przebywa Lucyfer, przykuty do łańcucha przez S-ego Michała Archaniola. Matka Boska ratuje litościwie te dusze i jest orędowniczką łaskawą wszystkiego, co cierpi, czemu grozi zakaz i nieczysta siła złe-

go. Legendy z tego zakresu zostały ujęte przez prelegenta w formę bardzo kunsztowną, wypowiedziane po połowie prozą poetyczną, po połowie wierszem miarowym i rymowanym, a że głos i dykcja była artystycznie zaokrąglone, wywierało to wrażenie bardzo wdzięczne, a jak niewymownie miłą była legenda o noclegu Najświętszej Panny w chacie wieśniaka, legenda o schronieniu się pod osiną i leszczyną! Przepadłoby też było na ziemi wszystko to zboże, które daje człowiekowi chleb, gdyby ta Miłościwa nie była się wstawiła do Boga za pracującym w pocie czoła kmiemcem, a trzeba ludzkości nie w jednym tym kierunku siły woli i wytrwałości pracowitej, bo odbywa się wciąż na świecie walka złego z dobrem.

Legend takich jest ilość nieprzeliczona. Ostatnie dwa odczyty, pod tytułem „Z Nieba“, przedstawiają Bogarodzicę schodzącą na padół ziemi, aby wspomagać i ratować człowieka; gdy za winy i złości jego Bóg spuści nań plagę nieurodzaju. Ona nad niedolą biedaków gorącymi łzami płacze, a łzy te, spadając na ziemię, zamieniają się w groch i zbiór jego obfity oddala głód od ubogich chat pod słomianą strzechą. W każdą sobotę, która jest dniem poświęconym Jej chwale, słońce musi zabłysnąć blaskiem złotym, choć na moment jeden, co uprosiła sobie u Boga jeszcze za życia na ziemi, a to gdy suszyła białą koszulczkę Synaczka swego, aby oblec Go w nią w świętą Niedzielę. Śliczną jest legenda o sobotnim promyku, śliczną jest legenda o przędzy babiego lata, której nie srebrno-biała wije się w powietrzu. To ona, Matka Boska, przedzie ją, siedząc u wrót raj, dla tych dziecińek biednych, które bez chrztu poumierają, więc do nieba wejść nie mogąc, żalostnie się tu cisną, a ona przedzie dla nich nie tę na koszulinki.

Przedzie cieniutko — a lud nasz podpatrzył, że pajak jej się sprzeciwia, jeszcze cieńsze włókno snując i dlatego mówi, iż „nie grzech zabić pajaka.“ Nie mylił się też prelegent, iż niema żadnej pracy, żadnego w życiu wiejskiego zwłaszcza ludu ważniejszego zajęcia, aby nie wiązało się z niem podanie jakiegoś o Matce Boskiej — o pomocy z jaką tu człowiekowi przychodzi. I niemal też każde drzewo, krzak, każde ziele człowiekowi pożyteczne, jest w jego wyobraźni opieką Matki Boskiej otoczone. Śliczne, pełne poetycznego wdzięku jest podanie o skowronku; gdy Adam, wygnany z raj, za winę nieposłuszeństwa Bogu, musiał się ciężko spracowywać, orząc twardą nowinę i raz zły znojem wpadł w smutek głęboki, przystąpił do niego sam Bóg Ojciec i biorąc ręką swą najświętszą grudkę ziemi, podrzucił ją w górę, a stał się z niej ptaszek nieduży, skowronek, który z dzwieczną piosenką wzblił się w błękity i przyspiewując z wysoka oraczowi, znojną jego pracę mu umilał. Gdy Matka Boska z Dzieciątkiem Świętem na tej ziemi żyła, nigdy jej nie opuszczał i słał jej z góry piosenkę swą wdzięczną, a w okrutnej tej chwili, gdy Jezus Chrystus na krzyżu zawieszony od kołców cierpiowej korony krwia się oblewał, skowronek spuścił się z góry, aby wyrwać z niej choć jeden: nigdy też nie opuszczał już Bogarodzicy, i dotąd szare to ptaszek śpiewa Jej co rano, gdy z wież kościelnych na Anioł Pański zadzwonią, on w błękity wlatuje i niesie Jej hejnał swój słodki.

Prelegent kazał też człowiekowi naśladować go — kazał mu ku niebiosom — na skrzydłach ducha się unosić i z głębi serca swego wołać:

Nie smuć się, duszo ludzka, nie narzekaj,
Bo ty sierotą nie możesz być nigdy,
Skoro masz Ojca Wiecznego w niebiosach
I Matkę Jego swoją Opiekunką.
Nie smuć się, duszo ludzka, nie rozpaczaj,
Bo kędy spojrzysz dookoła siebie,
Dokądbyś poszła na najdalsze krańce,
Za wszystkie morza, za najwyższe góry,
Ziemia się z niebem styka nieustannie!...

Nie smuć się, duszo ludzka, nie wąp nigdy.

M. I.

POGA WĘDKA.

Wiosna! wiosna! słoneczna, ciepła, zielona, przepelniona wonią bzów i miodnego kwiecia czeremchy, dzwoniąca od pieśni ptaków otula nas, ogarnia, czaruje. Ze wszystkich pór roku, którym nie brak właściwej piękności, ta chwila rozbudzenia się życia w przyrodzie całej ma w sobie niewysłowny nrok, czar niewypowiedziany. Nie męczy upałami lata, nie gra smutnym wichrem jesieni, ani chłodnym uściskiem zimy mrozi nam krew w żyłach. To chwila wspomnień i marzeń, rozbudzenia się wszystkich uczuć, które niegdyś, dziś może już oziębłe, poruszają serce. Na koralowych usteczkach dzieci brzmi śmiech szczerzego wesela, z oczu młodzieży tryskają iskry zapалу, a w sercach tych, którzy już niemal wszystko przeżyli i niczego od przyszłości się nie spodziewają — blade listki rozwija kwiat wspomnień i jakimś rzewnym smutkiem pierś napętnia, mającym w sobie stojącą moc balsamu. Niejeden, wdychając w siebie tę woń bladego kwiatu, odezwie się słowami poety:

Młodości moja, niegdyś bujna trawo,
Jakżeś zapachła ku mnie zwiędłym sianem.

Człowiek więcej kocha, silniej czuje i — zdaje mi się — że jeżeli był dobry, jest stokroć lepszy podczas tych chwil wiosennych.

Niedawno pierwszy komar mnie ukąsił i ja nie miałem serca go zabić. Choć ból był dotkliwy, nad ten ból uczułem większą radość, posłyszawszy szklany brzęk tych skrzydeł komarzych, dzwoniących tuż nademną. Nie widziałem w nim zbrodniarza czatującego na krew ludzką, ale pożądanego zwiastuna wiosny, który z pieluch się podniósł pod wpływem ożywczego słońca i zatoczył kręgi powietrzne, kąpiąc się w ciepłej kąpielii dnia majowego.

I dlaczego zabijać go miałem?

Że mi mały ból sprawił?..

Ale czyż brzęk jego skrzydeł wspomnieniem żadem nie poruszył mi serca, nie nie rozbudził w pamięci?..

Kłamecą byłbym, gdybym powiedział: tak!

Brzęk komarów podczas nocy majowych jest jednym tylko z tysiąca akordów, które tworzą pieśń wielką, jaką nam gra świat cały. Gdyby mi księżyc świecił nad głową i podścielał pod nogi cienie drzew, gdyby lekkim wiatrem trącane szumiały nademną lipy czy czeremchy i strumień gdzieś dzwonił i słowik śpiewał — zapytałbym:

— A gdzież są komary?

Bez ich chorału nie byłby pełny koncert nocy, zabrakłoby skrzyptków w dobranej orkiestrze.

Ale człowiek jest dziwnie niewdzięcznym stworzeniem. Dopóki muzyka tych wesołych płaszczy słuch jego nęci, rad jej się przysłuchuje, niechże choć jeden z nich na dłoni usiadzie, nie miłostnie strutowany zostaje.

Nie chcę, ażeby mnie wzięto za dziwaka i szczególnego opiekuna komarzych żywotów. Podczas letnich upałów wiele podobnych zbrodni ciężkie może na moim sumieniu, ale pierwszego zjawienia się komarów nigdy zabójstwem nie poświadczam.

Dlaczego?

Ot, po prostu, dla tego, że w tych pierwszych dniach rozbudzenia się przyrody człowiek jest lepszy i nawet komara kocha.

To też niedawno prawdziwie wzburzony powróciłem z wycieczki jednej.

Pomimo, że ziemia i drzewa okryły się bujną zielonością, białe kwiaty czeremchy miodową, upajającą dokoła woń rozlewały, mimo, że uciekły od gwaru miejskiego zanurzyłem się w morzu zieleni za Willanowem rozciągającego się parku, Morysinkiem zwanym — między głosami różnego ptactwa nie słyszałem słowika. Przystawałem często, nastawiałem ucha, myśląc, że ten pieśniarz wiosenny odezwie się w ciszy zapadającego wieczoru, niewprawnie jeszcze, nieumiejętnie, ale

sprobuje mocy swego gardziółka i kilku tonami da znać o sobie.

Cicho!..

Tu i tam świergotały wróble na dobranoc słońcu, jakieś ptaszek kwiliło ukryte w gęstwinie drzew, dzieciół nawet parokrotnie zastukał, nie mówiąc już o wronach, które co chwila gwałt podnosiły.

Słowika nie było...

Daremno przechodziłem wzdłuż i wszerz parku — wiosenny bard milczał.

— Poczekaj, ptaszku — mówiłem w duchu — za dni kilka odpowiedź znowu tę ustroń leśną i musisz mi zaśpiewać.

Nazajutrz udałem się na Stare-Miasto za interesem.

Dzień był gorący, szedłem szybko przez wąskie ulice, nie myśląc wcale o słowiku — nagle: tui-tui, ciach, ciach, ciach — zabrzmiało...

Stałem.

Co to?

W Willanowie i za Willanowem, nie udało mi się tej słowiczej piosenki posłyszeć, aż tu dopiero, wśród gwaru miejskiego i swarzących się między sobą przekupiek?..

Powiodłem oczyma w koło, szukając pieśniarza, który dziwnie smutno zawodził.

Siedział biedak w klatce i, co chwila, urywanym głosem śpiewał.

Nie tylko on jeden był.

Tu i tam, na tej, to na tej ulicy, w poroztwieranych oknach kamienie dostrzegłem pozawieszane klatki, a w nich te ptaszęta szare. Zaledwie wiosna błysnęła, zaledwie zdolały z ciepłych krajów zawitać do nas krain, już znalazła się ręka przekupnia, pozbawiająca ich swobody i lasów zieleni.

Cóż więc dziwnego, że ja, który już niejednemu komarowi darowałem życie, wprost oburzony zostałem, na sprzedawcę i kupującego? Gdybym miał władzę zabroniłbym handlu słowikami; gdyby głos mój znalazł odzwiek w czulszych sercach, byłbym za założeniem towarzystwa opieki nad niem i ostro karał przestępców. Nie mając pierwszej, nie będąc pewny ostatniego, w danej chwili zrobiłem to tylko, co mogłem uczynić na razie. Kupiłem jednego słowika — (na więcej mi nie stać było) — i siadłszy do tramwaju, pojechałem do Łazienek, gdzie go udarowałem wolnością.

Ach! jak on frunął szybko.

Po chwili posłyszałem śpiew...

Oczywiście, że to on śpiewać musiał.

Na drugi dzień poszedłem znów do Łazienek.

Kilka słowików śpiewało naraz, ale jeden usiadł tuż nademną i zawodził.

— To śpiewa mój słowik — szeptałem.

Tak czy inaczej było — mniejsza! Śpiewający najpiękniej, stał się moim słowikiem... Dość dla mnie!

Ciepło, jasno i gwarno w mieście i za miastem.

Wszystkie ogrody są przepelnione spragnionymi powietrza, do tramwajów dostać się nie sposób; kto żyje, śpieszy za obręb Warszawy. Na Saskiej Kępie wesoło, na Bielanych wesoło, wesoło wszędzie.

Małuczko — jeszcze weselej będzie...

I cóż się temu dziwić?..

Ciepło, słonecznie, błękity tak krystalicznie rozjaśniły się, że zdaje się, iż nieprędko szara chmurka deszczem pogrozi. Toć korzystają ludzie z tej jasności i dają folę lekkiemu sercu i niezem niezakłopotanej głowie. — Prawdopodobnie, że nie ominie nas kwiatowe „corso“, a jakkolwiek o niem dotąd cicho, sfery wyższe nasze go towarzystwa myślały tymczasem o nowej, ale to całkiem nowej zabawie.

Zabawa!..

Aż mi serce rośnie na każde wspomnienie o zabawie...

Ciepło, jasno, promiennie i tak bardzo a bardzo... zielono.

Bawmy się!

Wahają się jeszcze umysły sfer wyższych, jaką miejscowość na teren nowej zabawy wybrać: Frascati czy Dolinę Szwajcarską. Prawdopodobnie, że się na uroczem Frascati skończy, bo

tam na tle drzew pięknego parku wdzięcznie odbija się stroje i twarzy profile...

Ale, ale—cóżem powiedział?

Właśnie zabawa, o jakiej mówić rozpoczęłam, nie ma wcale na celu ukazywania twarzy.

Widzę zdziwienie wasze.

Tak—tak, nikt nie dojrzy, piękne panie, czarujących uśmiechów waszych, ust koralów, ni pojętych doleczków waszych lic. Oto—w pięknej Dolinie Szwajcarskiej, albo w piękniejszym jeszcze Frascati, ma się odbyć... letnia maskarada.

Dukata — za ten pomysł!

Ostrzeże zawczasu dowcipy wasze, przyszłe uczestniczki kapitalnej zabawy, która niezem innym nie będzie, jak tylko dopełnieniem ciepłej, słonecznej, zielonej wiosny. Ale, ponieważ doskonałości na świecie niema—kto wie nawet, czy i nowoodkryty brylant niewidzianej dotąd wielkości, blasku i wagi, za który rząd angielski nie waha się miliony dawać funtów, pod doskonałym drobnowidzkiem nie ukazałby skaz jakich?—ma więc swoje *ale* i kapitalna zabawa.

„Maska nie na każdej ma spocząć twarzy“.

Otóż powinien być inaczej i mam nadzieję, że wszyscy uczestnicy tej letniej maskarady, powinni się szczerze ukryć pod przebraniem i czoła swoje maskami zasłonić. Tak będzie lepiej—ochroni to od ukąszeń komarów, a wesołości w niezem nie przeszkodzi.

— Więc? — zapytałam jedną z czytelniczek moich, niemały udział w przyszłej maskaradzie biorącej a której też zawdzięczam i niektóre szczegóły o niej—więc?..

— Do widzenia! — zawołała...

— Ze mną, pani?

— Przecie pan będziesz — w masce czy bez maski!

— Jeżeli będę... to — chyba w postaci komara się zjawię. Będę wciąż krążył koło uszka pani i brzęczał coś nieumiejętnie. Jeżeli pani, podrażniona niemylm tym szeptem, nie oddaje się z całą ochotą rozkosznej zabawie, zrozumianym już głosem zaśpiewam:

Ciepło—słonecznie — wesoło,

Czemu nie bawisz się, pani?..

— Aaa!...

— Teraz do widzenia — zawołałam uradowany.

Nie będę samotny — a ja tak samotności nie lubię.

Szkoda, że dotąd nie wiem jeszcze o dniu ani godzinie owej letniej maskarady. Ale mam nadzieję, że nie omieszkają nam o niej donieść szpalty dziennikarskie, ja zaś tę wieść w lot chwycę i—jeśli ona wypadnie w chwili, w której zwykłem gawędzić z wami—doniosę wam o tem zaraz, zaraz...

Że Warszawa cała niegdyś zielonym ogrodem się stanie — o tem nie wątpimy na chwilę, byleby wszystkie projekta, o których codziennie niemal czytamy w pismach codziennych, szatę rzeczywistości wzięły. Zależy to od wielu warunków, najważniejszym zaś z nich jest stan kasy miejskiej. Bądźco bądź, na projektach i to bardzo pięknych nam nie zbywa. Dobrą zaś ich stroną jest to, że nie zostają zagrzebane na wieki wieków, ale chowają się na czas tylko pewien do właściwej szuflady magistratu, z kądem, wcześniej czy później, znów się na wierze wydobywają i przy danej sposobności ze stulonego skromnie pączka, jeżeli nie róża, to choć tulipan wykwiata. — Od bardzo niedawna rzuciły mię losy na bruk syreniego grodu—a wieleż to zmian oko moje dostrzegło! Zamiast kamienie, mających kształt pudełek od cygar—powstają domy o bardzo pięknych zarysach architektonicznych, jednostajność tych budowli coraz mniej wzrok nuży, co beśprzecznie na upiększenie miasta wpływa. Gdzie tylko można, zakłada się skwery. Już zielenią krzewy i drzewka przed kolumnadą prowadzącą do ogrodu saskiego, wieńcem świerków otoczył się zamek, plac Ujazdowski nie świeci pustką, na której tarzały się warszawskie urwisy, w zaciętej walce ciskając kasztanami na siebie; przechodzić

nie spotyka już wysypiających się panien i panów z garderoby na zmiętej trawie placu. Piękny obszar zarysował się w aleje przyszłego ogrodu, w którym już tysiąc drzewek zielonemi liśćmi wystrzeliło, niemniej krzewów wzięło majową szatę na siebie. W miarę wzrastającej ludności Warszawy, powiększa się ilość miejsc spacerowych, na czem i zdrowotność miasta zyskuje, nie mówiąc już o estetycznej jego stronie.

Od kiedy znam Warszawę, dwie szczególnie jej miejscowości zwracały zawsze uwagę moję: Park Praski i stoki Jerozolimskiej alei od Nowego Świata ku Smolnej ulicy. Pierwszy, aczkolwiek na mniejszą znacznie skalę, lecz mógłby być Praterem naszym. Tam Dunaj wspaniały toczy błękitne wody, tu szara sukmańska Wisła nie mniej piękna wzorzysto rozściela się przed nami. Ale co stanowi prawdziwe piękno tej miejscowości—wiodok na miasto.

Całemi godzinami wpatrywać się można na te fantastyczne kontury domów, na strzelistość wież naszych świątyń, na niezrównaną grę barw, światel i cieni. Doprowadzony do zupełnego porządku, park Praski byłby najcenniejszą ozdobą miasta, powiem nawet, nie lekając się przesady—byłby brylantem Warszawy. Zapewne, że na to potrzeba dużo grosza, nie mało pracy, szczególnie tyżającej się uregulowania zbyt niskich brzegów Wisły, która lubi daleko swoje fale zataczać i dąsa się a gniewa, gdy ją w karby posłuszeństwa wzięć pragną. Wiele też w niej jeszcze wody upłynie, nim na zaniebaną dziś prawie całkowicie przestrzeni, zarysują się piękne kwietniki, przewinę się węzowami skrętami aleje, nad brzegiem staną altany i baryery, o które oprze się dłoń marzyciela, słuchającego szeptu wiślanej fali, wdychającego pełną piersią zapachy róż i lilij; nieprędko w przeznaczoną na to przystanią zakłószą się gondole nasze, a doborowe towarzystwo wesołym dźwiękiem rozmowy napelni, dziś bardzo niewybredną, ustroń.

Lecz — przyjdzie kreska na Matyska, jaka już padła — w projekcie dotąd — na aleje Jerozolimskie.

Piękne te wzgórza, jak niegdyś plac Ujazdowski, służą obecnie włóczęgom do zabawy, a miękka trawa — za pościel różnego rodzaju indywiduów. Otóż powstał projekt, ażeby na nich urządzić skwery spacerowe.

Myśl bardzo piękna, fantazja zajmującego się urządzeniem tych skwerów miałaby dużo pola do popisu. Niezbyt szerokie drożyny powinny się krzyżować, zbiegać się to rozbiegać; dużo kwiatów być powinno a wszystkie miejsca pochyłe, niech świecą jak wzorzyste kobierce. Z czasem tu i tam mógłby jakiś posażek stanąć, lub lekkim słupem fontanna wystrzelić. Oby tylko nie włóczyli się ze straganami przekupnie i o miejsce dla siebie nie upominali się kioski. Sądźmy, że ta myśl, która, z braku środków na to w kasie miejskiej, do lepszych czasów odłożoną zostanie — powinna być rozważona i przez właścicieli domów przy tem wzgórzu stojących. Możeby wspólnemi siłami urzeczywistnił się prędzej ten piękny projekt — na czemby właściciele rzeczonych possessyj zyskać tylko mogli, a miastu przybyłaby jedna z cenniejszych ozdób.

Mieux vaut tard, que jamais—powiada francuzkie przysłowie. Trzymając się tego zdania, choć lekam się czy *za bardzo późno* myśl pewną podnoszę, rzucam ją jednak ze słabinką jednakże nadzieją, ażeby już ona podjęta być mogła i pożądaną wydała owoc. Chciałbym mimo to, ażeby szanowni czytelnicy zechcieli się włączyć w rzuconą myśl poniżej, żeby przez nich ona przeszła do szerszego ogółu, a wtedy może — może... nie narzekałbym na opóźnienie się.

Przed paru tygodniami odbył się koncert w Towarzystwie Muzycznym, którego celem było zasilć fundusz na budowę pomnika Szopena w Żelazowej Woli. Sądję, że na ten cel piękny, nikt, z najuboższych nawet nie pożałuje grosza, że przy szczerem zajęciu się, większy nawet nad zamierzony zebrałby się fundusz, za pomocą którego, możnaby uczcić pamięć mistrza.

Zdaje mi się, że dość byłoby powiedzieć: „Pamięci Szopena“—a posypałyby się mniejsze lub większe datki, a że *concordia res parvae crescunt* — ini-

cyatorowie tej pięknej, poważnej myśli na obojętność naszego ogółu nie narzekaliby.

A jednak nie zebraliśmy sum bajonówskich — ktoś szepee.

— Tak — ale czy obrane miejsce na pomnik, jakkolwiek to miejsce jest rodzinnem Szopena — zupełnie odpowiada celowi?

My—byśmy to miejsce pamiątkowe czy pamiątkową altanę, w której lubiał marzyć i tworzyć mistrz naszych pieśni—naznaczyli jakimś wielkim głazem z krótkim napisem: *Chopin*, a wyteńczylibyśmy siły wszystkie do postawienia mu wspaniałego pomnika, na jednym z pięknych skwerów Warszawy. Kto do Żelazowej się Woli uda, dla obejrzenia pamiątki? Niewiele wśród nas takich patników się znajduje, a cóż mówić o cudzoziemcach? O tym ustronnym pomniku zapomną prędco, a gdy go za czasów nadwery, nieszybk do nowych śladek się weźniemy. Żelazowa Wola zresztą, jako własność prywatna, może z rąk do rąk przechodzić, a zatem może stać się własnością człowieka, obojętnego na wszelkie pamiątki. Warszawa jest uboga w pomniki; mimo wszystko, mamy pieniądze na „corsa, maskarady, wyścigi i t. d.“ nie zbraknie więc nam i na cel powyższy; nie sądzimy też, ażebyśmy mieli zbyt wiele trudności w obraniu odpowiedniego miejsca, jako też uzyskaniu pozwolenia władzy. Nie zniechęcać się tylko mogącemi nastąpić przeszkodami, a wytrwale do celu dążyć. Szopen wart pomnika w Warszawie — o tem nikt nie wątpi. *Jakie zaś i czy* będą trudności w wykonaniu tej myśli, dziś nie o tem mówić nie możemy, albowiem nie o Warszawie myśleliśmy.

W tych dniach w salonach Krywulta stanął obraz dużych rozmiarów, o którym jeszcze krytyka nie miała czasu nie powiedzieć. Obraz ten jest dziełem Wyczółkowskiego. Zawdzięczając uprzejmości malarza, widzieliśmy tę ostatnią jego pracę kilkakrotnie przed wystawieniem jej na widok — i — doznaliśmy ogromnego wrażenia.

Nie będziemy nie tu mówili o zaletach rysunku, kolorystyce obrazu i tak dalej i dalej. Jest to obraz pełen głębokiej myśli, nad którym godziny całe można w skupieniu ducha spędzić.

Co on przedstawia?

Skamieniałego Druida — jak napis mówi — nie nadto!

I nie nadto ja wam nie powiem dzisiaj — zobaczcie sami to dzieło — wyborne pod względem wykonania, wspaniałe myślą poważną.

„Jestem!“ powiedział w nim autor, jestem w pełni sił twórczych, świadomy celu, do którego dążę, świadomy ducha, którego mi Bóg w pierś włożył.

Ale — czy znacie „Jestem“ Krechowieckiego, tę ostatnią powieść autora „Veto“? — Prawdopodobnie, że ją znacie i — i — chciałbym z wami pomówić o niej, szanowni czytelnicy, lecz i tak już zapędziłem się w pogadance dzisiejszej, że się lekka pocynam, czy mi nie wymyślacie już od starego gaduły. Nie mogę jednak złożyć pióra, dopóki choć słów parę o tem: *Jestem* nie rzucę.

Podobała mi się ta powieść Krechowieckiego i dość dużo mówiłem o niej to z tym, to z owym. W porządku byliśmy, gdyśmy rozbiegali postaci takie, jak: Janina, Laura, August, Warsz nawet — lecz gdy do Jadwigi przyszło, stanęliśmy odrazu na dwóch przeciwnych biegunach.

Ta postać, otoczona męczeńską aureolą, nie podobą się ludziom. Być może, że autor za dużo wlał w nią niebiańskiego światła, zanadto zapominając o krwi i ciele; być może, że krępował się, ukochawszy tego czystego anioła swych myśli, krępował się, powiadamy, z waniem do jej serca więcej namiętności ludzkich i dlatego ona przed naszymi oczyma przechodzi prawie jak cień niepochwytny, mimo to — jest postacią wzniosłą, jedną z tych, które nawiedzają czasami ten smutny padół placu.

Niestety! — nikt nie uwierzył w możność takiej postaci na ziemi, — nie cieniem, nie mgłą jej nawet nazwano, ale wprost ślamazarią istotą. Jadwiga, choć kochająca Augusta, lecz nie chcąc zerwać łączącego ją węzła z mężem obłąkańcem, przez pamięć miłości dawnej; wzdrygająca się przed zrzuconiem małżeńskiego jarzma dlatego tylko, że dziś jest ten mąż nieszczęśliwy, a nieszczę-

śliwy z nadmiaru pracy, by jej i sobie los zapewnić — taka Jadwiga, która za cel swojego życia postawiła: *obowiązek* — jest istotą bez krwi i kości, chorobliwą fantazją autora! — Czy takie pojęcia nie są smutnym dowodem moralnego upadku nas samych? — Zola, Gyp i Spółka do innych nas potraw przyzwyczaili — zdrowe dania nie smakują już podniebieniu naszemu.

KOBIETA W STAROŻYTNYM RZYMIE.

przez
Józefę Żdzarską.

VI.

Światła w ciemnościach.

(Dokończenie).

Fulwia, pierwsza żona Marka Antoniusza, na miętna i mściwa, despotyczna i dumna, kochała jednakże męża.

Pióro się wzdyga na opisanie okrucieństw, jakich stała się winną, bez łyzy jednej współczucia była sprawczynią śmierci Cycerona, znieważając nawet martwą głowę wielkiego mówcy. Wziasze na nowo rozpoczętej wojny domowej wypowiedziała krwawy bój nowemu Cezarowi, z mieczem w ręku przemawiając ogniste do żołnierzy. W ucieczce przed Oktawianem umarła w Sycyonie.

Oktawia, siostra Oktawiana, podobnie jak Julia, stała się jako pojednawczyni pomiędzy mężem a bratem. Była równie piękną jak łagodną, szlachetną i inteligentną. Z dobrocią niezwykłego serca łączyła umysł podniosły, mądrość w postępowaniu, charakter wielki. Antoniusz pod wpływem czarów młodości żony zapomniał na czas jakiś o swej występnej miłości dla Kleopatry. Słodką wymową pojednała brata z mężem, porywających się znów do boju.

Antoniusz wojsko, jakie gotował na szwagra, zwrócił na Partów. Lecz występna jego miłość dla Kleopatry odżyła nanowo; zapomina więc o chwale wojennej i wzywa syrenę do Syrii.

Kleopatra, zwinna jak żmija, umiała się zastosoować, nie tylko do okoliczności, ale i do ludzi. Przemawiała z łatwością do Arabów, Etyopów, Syryjczyków, Medów i innych ludów ich językiem. Umiała się zastosować, chociaż, pełna królewskiej dystynkcji, do wolnych obyczajów Antoniusza, który krępował się przy Oktawii, kobiecie mornarszego, pełnego szlachetnej powagi obejścia się.

Dla czarującej więc syreny Antoniusz podeptał prawa ojca, męża, chwałę wodza, lekcewał życie swoich żołnierzy, prawa swego kraju, wreszcie cześć imienia rzymskiego. Dał tej drugiej Cyrce królestwo całe. Dla niej zaćmił chwałę swego oręza. Naraził na śmierć w śniegach strasznej zimy 8.000 wiernych sobie żołnierzy.

A tymczasem żona, wzgardzona, wiedząc, że został przez Partów pobity, porzuca Rzym i śpieszy do wiardomey, niosąc mu przebaczenie i pomoc skuteczną w pieniądzech, żywności, odzieży dla żołnierzy, bogate dary dla dowódców i jego oficerów, nadto 2.000 ludzi dostatecznie uzbrojonych.

Oczekuje go w Atenach, a tymczasem mąż nie pozwala jej iść dalej. Posłuszna jego woli, Oktawia wysyła do Antoniusza posłańca z zapytaniem: jakim sposobem ma dostarczyć mu wszystko to, co dla niego przywozła?

Wzruszony tylu dowodami głębokiego przywiązania wiernej mu żony, Antoniusz chce do niej powrócić, ale łyzy Kleopatry odnoszą zwycięstwo nad

lekkomyślnym i niewytrwałym w swoich uczuciach mężem. Oktawia, zbolą, powraca do Rzymu.

Oburzony Oktawian, każe jej opuścić dom męzowski, ale zacna, matrona wiernie pozostaje przy ognisku domowym, pielęgnuje troskliwie swą działalność, nie wyłączając z pod swej macierzyńskiej opieki dzieci Fulwii.

Antoniusz dodaje nowe królestwo Kleopatrze, odrzuca mądre rady swych wodzów i razem z czarodziejką udaje się do Aten.

W czasie chwilowego pobytu Oktawii w Atenach lud ateński, oczarowany jej dobrocią i wspaniałomyślnością, otaczał ją czcią i najwyższemu uwielbieniem. — Ale czarodziejka egipska swemi ponętami wdziękami, pozorami szlachetności, w krótkim czasie zatarła pamięć zacnej matrony rzymskiej, podniecając dowodami czci, jaką ją zmienny lud ateński otoczył, miłość dla siebie Antoniusza, do tego stopnia, że niewierny mąż posłał żonie aktrozvodu.

Teraz dopiero Oktawia, posłuszna jego woli, opuszcza ognisko domowe, polecając dzieci swoje Fulwii, i płacze, nie nad sobą, ale nad nieuniknioną wojną domową.

Oktawian przeznaczył jej na mieszkanie dom o pięknym portyku, któremu nadał jej imię. Marcellusa, jej syna, uczynił swoim następcą.

Nowy cios zranił serce Oktawii: syn jej najukochańszy, Marcellus, umarł nagle. Czarna, dzika rozpacz, niby kamień, padła na jej zboląle serce, już do końca jej życia. Żadna ręka odtąd nie była zdolna łez jej otrzeć. — Nie chciała być pocieszoną, bo, wyrzekając się łez (jak mówiła), byłaby utraciła syna po raz drugi. Uciekając od blasku i chwały cesarskiej, w grubej żałobie szukała tylko samotności.

Pogaństwo nie mogło jej dać pociechy godnej jej serca.

Jak wielką była jej boleść, dowodem następujące zdarzenie:

Wergiljusz opowiadał raz wobec Augusta i Oktawii o pobożności zmarłego, dodając: Niestety! oplakane dziecko, gdybyś mógł być wstrzymać bieg gorzkiego przeznaczenia, byłbyś Marcellusem. Rzucić nam kwiaty pełną dłonią. — Na te słowa Oktawia zemdlą w objęciach brata, August zapłakał.

Przyszedłszy do życia, matka Marcellusa kazała wypłacić poecie po 10 sesterce, za każde 32 wiersze, które zawierały epizod o Marcellusie.

Liwia, żona cesarza Augusta, tylko jako przeciwieństwo stać może obok szlachetnej żony Antoniusza. Piękna i nieprzenikniona jak bóstwo, z majestatem królowej, niby Cerera rozdała upokorzonemu u jej stóp światu kłosy ze snopa, który trzyma prawa jej ręka. Usta malutkie, wzrok pogodny i przenikliwy, mają dobroć i uprzejmość wystudowaną, ale pod tą osłoną kryje się podstępny charakter, chłód i brak uczucia.

Tacyt w kilku słowach skreślił wybornie obraz tej kobiety. „Czysta przy ognisku domowym, starożytnych obyczajów, pełna uroku i wdzięku niewieściego, była matką-tyranką, małżonką kochającą po-swojemu; skrycie despotyczna, łączyła z polityką męża — udawanie prawdopodobieństwa, a chytrą syna“.

Jest pracowitą jak Tanakwil. Sama robi odzież mężowi. Dumie poświęca wszystkich i wszystko, i dla niej tylko żyje. — Z mężem żyła do końca w jak najlepszej zgodzie: kochał ją też czule do śmierci. W sprawach dotyczących się państwa często zasięgał jej rady, chociaż udawał, że nie uznaje jej wpływu; jednakże Liwia 50 lat panowała nad tym, który był panem całego świata. Wszędzie za nim szła, nawet na Wschód, gdyż August chwili nie mógł żyć bez niej. Ona to wyjednała mądre przebaczenie dla winnych po odkryciu spisku Cynny, godzącego na życie Augusta. — Był to krok wysoce polityczny, bo dodał blasku jego chwale. Pragnęła być popularną, więc też w czasie pożaru Rzymu mieszała się w tłum ludu gaszącego ogień. Ona wydawała rozkazy.

Pogardzała pochwałami i pochlebstwem, więc też pomniki, jakie jej stawiano, uwieczniały tylko

jej pożycie małżeńskie. Poeci wcale jej nie opiewali, prócz Owidyusza. Śmierć Druzusa zniosła ze stoicką odwagą, jak Seneka utrzymuje.

Ta kobieta kamiennego serca, chcąc synowi swemu, Tyberysuszowi, tron zapewnić, usuwa zimną ręką wszystkich tych, co mogli stanąć mu na drodze.

Pierwszą jej ofiarą był Marcellus, synowiec i zięć Augusta, następnie dwaj jego bracia, spadkobiercy tronu. Nagłą śmiercią umierają również Postumiusz, wnuczek, którego cesarz adoptuje jednocześnie z Tyberysuszem. Śmierć Agryppy i samego Augusta przypisują również Liwii.

Cesarz testamentem uczynił Liwią i Tyberysza swymi spadkobiercami.

Tyberysz adoptuje Liwią za córkę i nadaje jej imię Julii Augusty. Lecz nie Tyberysz, ale Liwia właściwie panuje. Syn władzę matki znosi niechętnie, ulega jej jednakże, bo potrzebuje jej rad, gdyż była wtajemniczona w rządy Augusta.

Liwia, lękając się, aby Germanicus, syn Druzusa, naznaczony następcą po Tyberyszu, nie usunął jego rodziny, nasadza na znakomitego męża zabójców. Zacna żona Germanika domyślała się w niej zabójczyni ukochanego małżonka. Własny syn Liwii, który tron jej zawdzięcza, po tylu popełnionych przez nią zbrodniach, unikając jej despotycznej władzy, schronił się na wyspę Kapree, gdyż Augusta używała większej niż syn popularności w Rzymie. Wkrótce otwarcie poróżnił się Tyberysz z matką, nie pozwalając jej mieszać się w sprawy państwa, a po jej śmierci prześladował jej protegowanych.

Julia, córka Liwii i Augusta, pomimo najstaranniejszego wychowania, jakie jej dał ojciec, była jego klęską, hańbą płci swojej. Żona szlachetnego Marcellusa, następnie Agryppy Tyberysza, córka Cezarów, bez wszelkich nawet pozorów przyzwoitości hańbi tron i swój stan. Była zachwycająco piękna, a daru tego używała na swoją i cudzą zgubę. Straciła dwóch synów; ostatni, Agryppa, padł ugodzony zimną ręką Liwii. Dwie jej córki odziedziczyły piękność i występki matki. Skazana przez Augusta na wygnanie ciężkie, 35 lat przepędziła zdala od rodziny, umarła w nędzy.

Agrypina, najmłodsza córka Julii, starannie wychowana przez Augusta, piękna, inteligentna, stała w zasadach, czysta jak kryształ, szlachetna, poślubiła Germanika. Kochała męża namiętnie: jej czystość i słodycz łagodziły gwałtowny charakter nieodrodnego syna Druzusa.

Po śmierci Augusta legiony zostające w Pannonii zbuntowały się. Germanicus został wysłany, by je przywieść do posłuszeństwa. Agrypina podąża za nim z żonami innych znakomych wojowników. Lękając się o żonę i dziecko, Germanicus oddala z obozu Agrypinę i syna wraz z towarzyszącymi jej matronami. Ale kiedy płacz kobiet doszedł do uszu zbuntowanych, gdy wśród niewiast rzymskich poznali Agrypinę, córkę Cezarów, która wśród obcych chciała szukać bezpieczeństwa, składają broń, błagając Germanicus, by im przebaczył i pozwolił w obozie zostać swej żonie.

Następnie widzimy ją wśród legionów rzymskich, bo kiedy Germanicus dowodził na morzu, dzielna niewiasta postanowiła zostać z legionami na lądzie, gdyż się dowiedziała, że Germanie otoczyli wojsko Germanika.

Strach zejmuje żołnierzy: dowiedziawszy się, że nieprzyjaciele pragną następnie dostać się do Gallii i chcą zniszczyć most na Renie, Agrypina opiera się temu, staje odważnie, jedna przeciwko wszystkim, na moście i odnosi zwycięstwo, gdyż legiony, usłuchawszy jej mądrej rady, niby przed dzielnym wodzem, przedelfowały przed mężną niewiastą.

Agrypina czyni przegląd wojska, wynagradza posłusznych, pielęgnuje chorych żołnierzy, żywi ich własnym kosztem.

Mężna wdowa z popiołami męża śpieszy do Italii, by pomścić śmierć ukochanego. Przybywszy do Rzymu, w grubej żałobie, mając koło

siebie dzieci, z urną popiołów Germanicusa, dąży na Pole Marsowe, gdzie ostatnią cześć ma złożyć wielkiemu mężowi. Tłumy, wydające okrzyki boleści na widok urny, wdowy i jej sierot, otaczają Agrypinę. Jest to prawdziwy pochód tryumfalny, który składają: żołnierze pod bronią, trybunowie ludu i obywatele Rzymu.

Złożone popioły na Polu Marsowem orszak żałobny skrapia szezere mi łzami, uwielbia Agrypinę, zwać ją chwałą ojczyzny, jedyną z krwi Augusta, matroną starożytności.

Tyberysus zawrzał gniewem: chce zgubić Agrypinę, cierpliwą w zemście, bo każda wielkość moralna jest jej przedmiotem, czeka, by dorosły jej dzieci. Przekupieni oszczerzy świadczą fałszywie przeciwko niewinnej Agrypini. Wtrącona do więzienia, znosi z odwagą niewyczerpane katusze, zwąc ją chwałą tyran zadaje. Dumna, czysta kobieta chce je zwyciężyć siłą ducha i, przecierpiawszy na wygnaniu nieopisane męczarnie, umiera z głodu.

Postać tej dzielnej, energicznej niewiasty, czyściej jak złoto, które przeszło przez próbę ognia, z duszą bohaterki, z odwagą mężką a sercem kobiety, wspaniale rysuje się na tle ogólnego zepsucia, niby anioł boleści na zgłiszczach wielkiej przeszłości. Skupiła ona w sobie czystość Lukrecyi, energią Klelii i coś z piękności duchowej matki Grachów. Jest wiernym, ale udoskonalonym obrazem starożytnej matrony rzymskiej.

Antonia, matka Germanicusa, córka Oktawii, pogodnie piękna, kochana najczulej przez męża, umarła młodo.

Wdowa po Druzusie miała córkę imieniem Liwilę. Zaślubiona synowi Tyberysusa, odkryła spisek uknuty na życie cesarza przez Sejana, który poprzednio żądał jej ręki.

Messalina, żona Klaudyusza, nie zachowująca nawet pozorów przyzwoitości, poszła w późne wieki w przysłowie, jako kobieta bez cześci, bez miary w złem.

Dorównywa jej, a kto wie czy jej nie przewyższa, Agrypina, druga żona Klaudyusza, córka Germanika i czystej Agrypiny, jego żony.

Piękna jak bogini, posągowej postaci, poraz pierwszy zajaśniała, niby gwiazda, Rzymowi na wozie tryumfalnym, obok Germanika, gdy wjeżdżał do wiecznego miasta. Posiadając mężką energią, nie posiadała umiarkowania Liwii, nie umiała panować nad sobą. Popelniała zbrodnie, nie skrycie, jak Liwia, ale otwarcie. Aby zapewnić tron synowi, Neronowi, pozbawiła życia męża.

Pomiędzy innemi zbrodniami zgładziła ze świata Domicyę, ukochaną Neronowi, bo chciała mieć nad synem wpływ wyłączny. Za życia Klaudyusza doszła do potęgi. Nazwana Augustą, otrzymuje honory, jakie tylko król odbiera od żołnierzy.

Miała gwardyę z pretoryanów i z Germanów. Okryta chlamidą haftowaną złotem, dowodziła z Klaudyuszem bitwą morską. Otrzymała łaskę, jakiej przed nią nikt nie doznał: przeszła przez Kapitol.

Neron większe jeszcze złał na nią zaszczyty. Na medalu, jaki wybić kazał, na jednej stronie był jego portret, na drugiej — wyobrażenie Agrypiny. Pierwszego dnia po wstąpieniu na tron, zapytany przez trybuna wojskowego o hasło, odpowiedział: „najlepsza z matek.“ Przydał jej dwóch liktorów, udzielił wielkiej władzy. Agrypina nadużyła jej. Nienasycona w zbytkach, straciła szacunek syna przez występki potworne, wreszcie ten syn smutnej pamięci, odebrał matce gwardyę i z powodu spisków wymierzonych na jego zgubę, oddalił ją z pałacu.

Gdyby nie przedstawienia Seneki, Neron byłby się dopuścił zbrodni względem Agrypiny, bo ją oskarżono, że chciała syna pozbawić tronu.

Badana przez wysłaników cesarza, Senekę i Burrusa, usprawiedliwiła się, żądając jeszcze kary na oszczerców.

Neron spełnił jej żądanie. Odzyskana jednakże władza Agrypiny krótko trwała. Poppea, patrycyuszka, otrzymuje panowanie nad Neronem. — Cnotliwa Oktawia, córka Messaliny, żona Neronu, usunięta w cień, umiała tylko cierpieć w milczeniu. Agrypina godzi się z synem.

Po wspanialej uczcie wydanej przez Ottona, męża Poppei, Neron, okazując wiele czułości matce, odprowadza ją do wspaniałego statku. Było to w czasie prześlicznej nocy, prawdziwej nocy Italii. Agrypina leżała w łodzi na łóżku, w towarzystwie niewolnicy. Nagle straszny huk powstaje. Namiot w łodzi zapada się i zabija dworzaniina. Agrypina wzywa pomocy, wołając, że jest matką cesarza.

Niewolnica również zabita została... Ocalona cesarzowa wraca do swojej willi. Uduje jednakże, że w tym wypadku nie domyśla się zbrodni.

Tłumy, które otaczają jej willę, dają poznać cesarzowi, że matka nie straciła popularności. Neron postanawia matkę zgładzić.

Wysłani zabójcy do jej willi pozbawiają ją życia.

Cezar doznaje strasznych zgryzot sumienia. Dochodząc w złem do ostateczności, chce, ulegając Poppei, oddalić od siebie cnotliwą Oktawię, ale lud się temu opiera, i obrazy jej uwieńcza kwiatami. Wkońcu jednakże, na prośbę Poppei, Oktawia zostaje wysłana na wyspę Pandateryę i tu w strasznych katuszach umiera.

Popea ją zastępuje. Senat, pochlebając nowej imperatorowej, nadaje jej imię Augusty. Córeczka jej po śmierci zostaje ubóstwioną, matka — nazwana matką bogini! W przystępie szaleństwa Neron zabija żonę, ale po zgonie ją ubóstwia.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANĘ GROT BĘCZKOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

X.

— Halinko, Halu! O Boże! Cóż to się stało? Blade usta Haliny nie poruszyły się. Leży bezwładna na wonnej pościeli z meków i macierzanki, z zamkniętymi oczyma, blada, jakby życie z niej uleciało.

Przez łakę pędzi jak wiatr ulubiony jej wierzchowiec, i jego-to tu widok właśnie sprowadził na miejsce wypadku powracającego z polowania Stanisława.

Przerażony, przypadł do leżącej i zdrętwiał. W pierwszej chwili pewnym był, że nie żyje.

— Halu, Halu! — woła. — Co tobie? — Unosi jej głowę, która opada bezwładnie. Zdesperowany, naciera jej skronie, pulsa, prosi i błaga, aby otworzyła oczy, by przemówiła do niego: napróżno. Rozpacz nim zawładnęła. Co robić? Przypominał sobie, że ma wódkę w myśliwskiej torbie. Wlał kilkanaście kropli mocnego płynu w usta dziewczęcia. Zwolna, zwolna blada cera nabierała zaczęła różowej barwy, powieki drgnęły lekko.

— Dzięki Ci, Boże! — szepnął Stanisław. — Oddycha, żyje!

Leciuchem podniósł jej głowę i złożył sobie na piersi.

— I to ja, jam temu winien! — myślał z goryczą, wpatrując się w bladą twarz Haliny.

— Jak ja mogłem pozwolić, aby jeździła sama, jak mogłem!

Oddech Haliny, stawał się coraz wyraźniejszym, omdlenie ustępowało.

Otworzyła oczy i podziwem zjęta spotkała się z niespokojnym wzrokiem Stanisława.

Cóż to jest?

Stanisław trzyma ją w objęciach, głowa jej na piersiach jego spoczywa. Zaczyna ją ogarniać jakieś wielkie wzruszenie... dziwna błogość, któ-

ra rozgrzewa jej serce... Nie chce jej się mówić ani pytać; wystarcza jej sam fakt, że on jest przy niej i że jej z tem dobrze. — Nie wie, że w tem pół omdleniu, w uroczej nieświadomości tego, co się z nią dzieje, jest tak śliczna, iż Stanisław, chociaż przeleżał jeszcze i daleki od podziwiania wdzięków którejkolwiek, oprócz Lili, kobiety, patrzy na nią z mimowolnym zachwytem.

Oczywiście, jest to poprostu uwielbienie człowieka przy zetknięciu się z czemś, co jego zmysł piękna uderza. Serce, krew, nie biorą w tem udziału.

— Lepiej ci, Halinko? — pyta, pochylając się ku niej. — Czy czujesz ból jaki?

Ból?... Błogi uśmiech rozjaśnia jej twarzyczkę. Jak można mówić o bólu w takiej rajskiej chwili?

Stanisław nalega — Co cię boli, Haluniu? — mówi pieszczotliwie. — Powiedz. — Nie — szepnęła wreszcie; nie boli. Ale co to się stało ze mną? Gdzie my jesteśmy?

— Kary cię poniósł, najdroższa, i znalazłem cię tu leżącą omdlałą... O! Halu! Ta chwila chyba na zawsze zostanie mi w pamięci.

Ona przytknęła oczy, z wyrazem niezgłębionego szczęścia.

— Może ci słabo? — zląkł się Stanisław. — Napij się jeszcze wody...

Istotnie, przytomność odbiegać ją zaczęła. Zawiele wrażeń naraz. Przypominała sobie, jak kary pędził z nią przez łąki i pola, a jej się zdawało, że spadnie i leci gdzieś w przepaść... potem zawrót głowy... ból okropny... i przebudziła się w objęciach Stanisława. Z tą myślą ostatnią odbiegła ją powtórnie przytomność.

Stanisław porwał ją na ręce jak dziecko i szybkim krokiem pobiegł do wsi. Pot kroplami występował mu na czoło; nie zważał na to. Z trwogą spoglądał na omdlałą dziewczynę i przyspieszał kroku. Raz tylko na mgnienie oka myśl słodsza błysnęła mu w głowie. Coby on oddał za to, gdyby ciemna główka Lili spoczywała na jego piersiach! Ale wnet zgromił sam siebie za myśl odbiegającą daleko od słabego dziewczęcia, które co rychlej ratować należało.

Wioska była już blisko; wszedł do pierwszej lepszej chaty z brzegu.

— O rety! O Jezul! Umarła jasnie panienka! — krzyknęła Jędrkowa, rzucając wrzeciono.

Dreszcz przeszedł Stanisława.

— Nie umarła, — rzekł z trudnością, — pomóżcie mi tylko ułożyć ją na łóżku.

Kobiecina sunęła żwawo przez izbę do alkierza i za chwilę, z całą chlubą zamożnej gospodyni, odkrywała pierzyny jedną po drugiej, wygładzała poduszki, nim ułożyła wreszcie panienkę.

Stanisław wyprawił posłańca po karetę i doktora i zajął się nanowo trzeźwieniem Haliny.

Kobiecina, zrazu przeleżała, uspokoiła się wkrótce, dowiedziawszy się, że panienka nie umarła, a poeciwa jej radość nie miała granic, gdy zobaczyła, jak drgnęły jej wargi i powieki się rozwarły. Uszczęśliwiony, Stanisław ucałował obie rączki Haliny, gładził pieszczotliwie włosy, a gdy wybiegł na chwilę, by wygodnie poduszki w karecie ułożyć, Jędrkowa zbliżyła się do Haliny i popuściła wodze swojej gadatliwości.

— O, był ci też to jasnie pan w strachu — szepnęła z przejęciem — Ażem się zlekła miły Boże! Taki był aż zieleniuteńki... O rety! Jak to u państwa, kiedy się miłują, to aż się serce raduje patrzeć. Jasna panienka będzie miała męża... szuka naokół... nie znajdzie.

Z oczów Haliny sirzelił promień szczęścia. W upojeniu słuchała gadatliwej kobieciny. Czy to być może? Zdawało jej się, że serce wyskoczy jej z piersi, tak mocno biło.

Upadek z konia sprowadził poważniejsze następstwa, niżeli przypuszczano na razie. Noga opuchła, przylączyła się gorączka, silny ból głowy i hala od dni kilkunastu nie opuszczała łóżka. Strwożona ciotka jest ciągle przy niej. Stanisław rozpacza, sobie przypisując całą winę.

Chora błogosławi chorobę. Czem-że są cierpienia fizyczne wobec tego ogromu szczęścia, który jej serce napelniał.

Jak kwiat ku słońcu kielich swój otwiera, tak i ona, nieświadoma tego, co się z nią dzieje,

otwierała niewinne swoje serduszko na przyjęcie radosnego gościa. Nie czuje bólu... nie myśli o niczem... Pobladała jej twarzyczka tuli się do poduszki, by ukryć łzy, które brylantowym ogniem świecą w szafirowych oczach.

— Jakże ci dzisiaj, dziecko? — pyta dnia pewnego troskliwa ciotka, delikatnie rozczesując miękkie włosy Haliny.

— Dobrze, ciotenka, zupełnie dobrze. Przespałam całą noc bez przebudzenia. Głowa nie boli...

— Dzięki Bogu!

P. Kamieniecka z westchnieniem ulgi podniosła oczy w górę.

— Staś się ucieszy — dodała mimowolnie, ale wnet pożałowała tego.

Weszła Woźnisia z bukietem kwiatów.

— Jaśnie pan pyta o zdrowie panienki — rzekła, z filuternym uśmiechem podając kwiaty Halinie.

Plomień rumieńca zabarwił twarz dziewczęcia...

Pani Kamieniecka dostrzegła rumieniec i promienny wyraz oczu i zatrwożyła się.

— Staś jest bardzo niespokojny o ciebie — rzekła: — Twierdzi, że on jedynie jest powodem wypadku i jego-to nieogłębność spowodowała ci chorobę. I tak jest istotnie: nie powinien był pozwolić, abyś jeździła sama.

— O ciotenka, cóż znowu! — oburzyła się Halina — Staś — zająknęła się — kuzynek nie wie nien, że ja jestem roztrzepana i niezgrabna. Mademoiselle Berta ma zupełną słuszość, dowodząc, że jestem niesforny dzieciak...

— Nie mów tak wiele, dziecko — przestrzegła ciotka. — Jesteś jeszcze osłabiona i lekarz spokój zaleca. — Staś zawinił i próżno chcesz go uniewinnić. Niech Woźnisia pośpieszy z podaniem kurczenia dla panienki — zwróciła się do gospodyni. — Doktor dziś i na leguminę pozwolił.

Woźniczka wyszła, ciotka pogłaskała czule głowę Haliny.

— Rolski — rzekła, patrząc bystro w oczy dziewczęcia — Rolski codziennie przyjeżdża dowiadywać się o twoje zdrowie, Halinciu. Jest bardzo zmartwiony.

Halina roześmiała się swobodnie.

— Wdzięczna mu jestem, ale po co się tak trudzi?

— Bo cię kocha, — odparła wprost ciotka. — Zaczny to i sympatyczny człowiek.

— Nie przeczę — rzekła Halina z dąsem — ale czemu ciotenka tak mi go zachwala?

— Zastanów się, Halino. Partya pod każdym względem dobra; mama byłaby zadowolona i ojczulek także — dodała p. Kamieniecka.

— Fe, fe, cioteczko! — z komicznym przerażeniem zasłoniła sobie uszy. — Ani chcę słyszeć o tem!

— Spokojnie, spokojnie dziecko — upominała ją ciotka.

— Powiedziałam tylko co myślę.

— Jesteś jeszcze tak młoda...

— Ale kuzynek Staś, powiedział, że jestem nad wiek rozsądną — rzekła z dumą. — Nie myślę zresztą o małżeństwie; wystarcza mi miłość dla rodziców, dla ciebie, cioteczko, i dla Stasia.

Ciotka obserwowała ją ze smutkiem. Odgadła tajemnicę jej serca, chciała ją ratować — zapóźno!

Hala żyła tylko swoją miłością. Leżąc ciutko podczas swej choroby, rozważała każde spojrzenie, każde słowo Stanisława, i niedoświadczona brała za dowody miłości to, co było zwyczajem przywiązaniem brata i bojaźnią uczciwego człowieka, któremu się zdawało, że jest winowajcą. Gdy wchodził do pokoju Haliny, miał tak serce żalem przepełnione, że mimowolnie wzrok jego zwracał się na nią z głębokim uczuciem troskliwości.

A jak jej wtedy serce biło! Mówić nie mogła. Przymykała zwolna oczy, bo ją blask jakiś oslepił... On kładł rękę na jej czole i pytał cicho: — Boli cię, Haliu? Bardzo boli?

O! ona ten głos słyszeć będzie zawsze. Nigdy nikogo już nie pokocha!

Stanisław nic nie widział i nie wiedział. Znadto był swoją miłością zajęty.

XI.

— Chciałbym pomówić z tobą, matko — rzekł Stanisław w jakiś czas potem, gdy choroba Haliny, przestała już ich niepokoić.

Dziewczę nanowo rozweselało dom cały śmiechem i szczebiotem, a jedyną chmurką na pogodnym jej niebie była myśl o wkrótce już mającym nastąpić powrocie do domu.

P. Kamieniecka drgnęła, usłyszawszy prośbę syna. Wiedziała, że będzie to rozmowa stanowcza, która raz nazawsze zburzy jej spokój, ale nie było już na to środka. Odłożyła więc robotę i rzekła:

— Mów dziecko, słucham cię.

Stanisław ukląkł przed nią.

— Matko moja — szepnął, patrząc jej w oczy serdecznie. — Chcę cię o coś zapytać... Czy... czy moja ukochana nie znalazła jeszcze drogi do twego serca?

Matka zawahała się; wrodzona atoli szczerokość — przemogła.

— Nie, mój drogi — odparła smutno, ale stanowczo. — Może za mało ją znam jeszcze...

Stanisław posmutniał.

— Niech cię to nie smuci, ani dziwi — rzekła, spostrzegłszy to, matka. — Ja jestem kobieta starej daty, przyzwyczajona do naszych skromnych zaściankowych dziewcząt; takie salonowe, świetne zjawiska przejmują mnie niewytłomaczoną trwogą. Nie o to jednak chodzi. Powiedz mi: czy miłości p. Rumszańskiej pewnym jesteś? Przyglądałam jej się bacznie podczas ostatniej u nas zabawy — i wyznam szczerze — niech cię to nie boli — raziła mnie kokieteryą względem hrabiego, z którą afszowała się, jakby umyślnie. Co to miało znaczyć? Hrabia podobno jest także konkurentem, nie ty więc, ale on ma prawo mniemać, że jest wybranym.

Stanisław uśmiechnął się błogo. Staneła mu w pamięci Lila jak żywa, w chwili pożegnania. Czyż kiedykolwiek patrzyła tak na hrabiego? Czuł jeszcze gorący jej oddech na swej twarzy, widział przed sobą oczy rozżarzone jak węgle, pełne obietnic takich rozkoszy, o jakich w niebie chyba tylko śnić można. Takie spojrzenie nie kłamało. Wybranemu jedynie obiecać może to, co obiecywało.

Podniósł się i wyprostował dumnie.

— Kocha mnie, matko — rzekł dobitnie, wciąż myślą zapatrzonej w tę ciemną głębię oczu ukochanej kobiety. — Pewny jestem, że kocha. Lubi się bawić, przyznaję, lubi kokietować, ale na zimno i jak twierdzi, głównie dlatego, że mężczyznami pogardza i zarozumiałość ich karać lubi.

— Nie szczególna to zabawka — odparła matka. — W każdym razie niegodna kobiety szlachetnej i rozumnej. Cóż będzie, jeżeli po ślubie w dalszym ciągu zechce się bawić w ten sposób?

Stanisław się oburzył.

— Co za przypuszczenie, matko! — zawołał — Lila, gdy tylko żoną moją zostanie, gdy ją od wpływu babki usuniemy, stanie się zupełnie inną kobietą. Jest bardzo młoda, bez wyrobionych pojęć... prawie dziecko jeszcze. Do nas należy urobić ją tak, jak zechcemy.

Pani Kamieniecka westchnęła głęboko.

— Nie takie kobiety, jak Lila, pozwolą sobą kierować — pomyślała.

— Więc, Stasiu — rzekła wreszcie z sercem boleśnie ściśniętym — i pragnąc tę rozmowę jak najprędzej zakończyć. — Powiedz mi: co masz zamiar uczynić i czego żądasz odemnie? Zdania nasze o pannie Rumszańskiej będą zawsze odmiennie; niema co już mówić o tem.

— Pragnę się oświadczyć, matko — rzekł już bez namysłu — i to wkrótce. Męczy mnie niepewność, irytuje otoczenie, w jakim Lila się znajduje; chciałbym mieć prawo ograniczyć wizyty hrabiego i wstrętne jego zaloty.

— Bardzo słusznie — odparła. — Pojmuję, jak ci to jest nieprzyjemnem. Stasiu, Stasiu! — dodała z nagle rozrzewnieniem — czy tylko nie będziesz kiedy tego żałował? Czy ona da ci szczęście, dziecko moje jedyne!

Rozplakała się rzewnie, i w oczach Stanisława łzy zabłysły. Pochylił się do jej kolan.

— Moja matko, moja święta matko! — szeptał tkliwie, tuląc się do niej. — Uspokój się! Dręczysz mnie ten brak ufności i niechęć twoja dla Lili, ale mam nadzieję, że się to wszystko odmieni, gdy się poznacie lepiej. Ja, wyznaję ci szczerze: życia bez niej już bym nie pojmował. Nie umiałem nigdy bawić się miłością, byłem dziki, szorstki dla kobiet; nie starałem się ich poznać; bom w duszy wypieścił ideał, którego, zdawało mi się, próżnoby na świecie szukać. Pierwsze spojrzenie Lili kazało mi o wszystkim zapomnieć. Jak cma do światła, jak niemowlę do matki, tak ja wyciągnąłem ręce ku tej miłości, drżący, przerażony, by mi się nie rozwiała.

— Muszę ci powiedzieć, mateczko — szeptał po chwili rozmarzony — że twój chłopiec nigdy szczęśliwym nie był i nie zanosilo się na to, aby nim był kiedykolwiek. Może sieroce dzieciństwo przyczyniło się do tego, ale ja czułem zawsze smutek nieokreślony i nieokreślony za czemś tęsknotę. Dużo rzeczy przytem robi się na świecie wprost przeciwnie niż bym chciał, dużo jest łez i smutku. W szkołach jeszcze, pamiętam, koleldzy nieraz śmieli się ze mnie, Lucyan od marzeń odcigał. Kobiety były dla mnie zawsze obojętne. Powiem ci, matko, że ich się bałem. Wstrętne są poprostu ze swoim narzucaniem się, z obłudą na czole i na języku. Ileż to razy byłem przedmiotem ich pożądań (właściwie Kamieniecka nie ja) ile zużyły słodkich minek, tkliwych spojrzeń, aby mię pociągnąć! Jam uciekał, bom chciał, abym ja szukał a nie mnie szukano. Lila odrzucała przedstawiła mi się taką, jaką jest. Nie pozowała na idealne dziewczę. Dużna jest, skryta, niełatwa do wylewania uczuć na zewnątrz, ale szlachetna.

Matka uśmiechnęła się — męczeńskim uśmiechem. Na coby się zdało mówić temu chłopcu z zapaloną głową, marzycielowi, który kobiet nie zna, że sąd jego jest fałszywy, i że jego ideał, zaczawszy od tej dumy, w którą jak paw w świetne piórka się stroiła, jest tylko zimną wyrachowaną kokietką, umiejacą jedynie dobrze liczyć?

Syn uśmiech jej zauważył.

— Uśmiechasz się, matko, niedowierzająco — rzekł ze smutkiem. — Nie umiem, widocznie, przekonywać.. Czas mnie pomści — dodał nieco weselej. — Sama się przekonasz...

— Oby tak było! Z serca tego pragnę, mój drogi. Znadto cię znam, bym nie wiedziała, że od miłości swojej nie odstąpisz... Po co więc próżno się rozdrażniać?... Kiedy masz zamiar oświadczyć się?

— Jak można najprędzej, mateczko. Nie mogę czekać już dłużej... Skoro ty pozwalasz i oswoiłaś się już z tą myślą...

Potał dłonią czoło i rzekł nagle zdecydowany:

— Pojadę dziś jeszcze...

Pochylił się do rąk matki.

— Ufaj i błogosław — szepnął głęboko wzruszony. — A nie martw się przywidzeniami, najdroższa matko. Bóg da, że wszyscy będziemy szczęśliwi.

W parę godzin potem, białym gościńcem, w nieprzebitych obłokach kurzu, posuwał się powóz Stanisława ku Zagórowi.

On sam, upojony nadzieją ujrzenia Lili, wychylał się z powozu niecierpliwie. Konie parskwały, okryte pianą: dobra wróżba podobno... W oczach Stanisława odbijał się wyraz głębokiego rozrzewnienia.

— Moja Lili! — szepce — moja Lili!... O, gdyby już jak najprędzej należała do mnie!

Stęskniony, bo nie widział jej dni kilkanaście, czuł głębiej jeszcze, jak serce jego niepodzielnie bezgranicznie przywiązało się do niej.

Pałac zagórowski, ze swemi arkadami, wieżyczkami, pawilonami, ukazał mu się nareszcie na tle drzew i zieleni. Krew mu zaczęła krażyć przyśpieszonym tętnem; ledwo się powstrzymał, by nie zawołać na stangreta: „jedź prędzej...”

W kilkanaście minut później, błady od głębokiego wzruszenia wyskoczył z powozu i wbiegł na ganek.

Pałac dziwnie śpiąco wyglądał. Spuszczone żaluzje, służby nie widać... Stanisław obejrzał się wokół niespokojnie. Z oficyny wyszedł Kwapiewicz. Szerokim słomianym kapeluszem, kłaniał się w stronę przybyłego i przyspieszał

kroku. Miał wielkie poważanie dla Stanisława. Kamieńce, gdzie pszenicy na pniu nie sprzedawano i nie wycinano lasu, budziły w nim uwielbienie.

— Witam, witam jaśnie pana — wołał z daleka. — Jak zdróweczko? Bodaj to młodym, jak Boga mego kocham! Ja ledwo oddycham a jaśnie pan oto w samo południe już dwie mile upalił z okładem. Ależ nas Wrzesień piecze!...

Stanął przed Stanisławem zziębnięty, spocony, i pokłonił się z respektem.

Stanisław rękę do uścisku mu podał: znał rzetelność Kwapiewicza i lubił go.

— Witam kochanego pana — rzekł przyjaźnie. — Więc upał tak panu dokuczył? Prawda, że Wrzesień nam nie folguje. Czy zastałem panie?

Na płaską, dobroduszną twarz Kwapiewicza padł cień jakiś. Zwrócił się żywo do Stanisława.

— A to gamoń ze mnie, jak Boga mego kocham! — zawołał. — Toż ja nie powiedziałem jaśnie panu i trzymam na takim skwarze... Proszę dalej... Pokornie proszę... Pokoje chyba otwarte, bo widziałem jak imość pani Zarubka toczyła się do pałacu niedawno... Osobliwa satysfakcja! Tyle funtów tłuszczu narażać na zetknięcie się z ogniem... Toż roztopić się może babinka jak nie!...

Roześmiał się. Stanisław patrzył na niego zdziwiony.

— Powiedzże mi pan nareszcie — pyta z niepokojem — czy panie są w domu? a może kto słaby?

Kwapiewicz wzruszył ramionami.

— Zdrowi wszyscy, jaśnie panie — odparł — czemu-by zdrowi być nie mieli. Panią wyglądała jak różyczka, a jaśnie panu w dobrym była humorze. Ojej! Czemu nie? Albo to niema starego Kwapiewicza, żeby się tu dręczył, głową kręcił, a pieniądze zagranicę raz w raz wysyłał? Stanisław schwycił go gwałtownie za rękę.

— O czym pan mówisz? — pyta — nie nie rozumiem...

— Ba! — odparł Kwapiewicz sentencyjnie. — Radbym wiedzieć: czy jest taki człowiek, któryby kobiety rozumiał. Jak Boga mego kocham, to czyste utrapienie! Raz, dwa, trzy, aniś się obejrzał, pieniądze w kieszeń, konie na kolej, szast... i niema nie!

Stanisławowi słowa w gardle uwieźły. — A! — wykrztusił nareszcie. — Więc panie wyjechały? I gdzie? Dokąd?

— Do Paryża, jaśnie panie, a potem pono gdzieś dalej, — rzekł Kwapiewicz, — ale nie meldowano jeszcze gdzie. Panią coś mówiła o Włoszech na zimę; pani starsza chciała w Paryżu zimować. Nie wiadomo. Hr. Biński pojechał także...

Zimne krople potu wystąpiły na czoło Stanisława. Czuł, że coś w nim nagle zamarło. Oslupiałym wzrokiem spoglądał to na zamknięte drzwi pałacu, to na świecącą od potu twarz Kwapiewicza.

Stary patrzył na niego z żalem i głową kiwał.

— Jaśnie pan nie nie wiedział? — pyta, aby coś powiedzieć. — Może być: nasza pani takie rzeczy w lot urządziła. Ani się człek spodziewa, a tu *fiut*, już jej niema. Zawsze tak bywało. Zdaje mi się, że i ten piękny pałac i Zagórowo, wszystko nie długo pójdzie *fiut*.

Stanisław już nie słuchał. Ucisnął szybko dłoń starego i do powozu wskoczył. Konie pomknęły, Kwapiewicz długo jeszcze ścigał wzrokiem oddalający się powóz.

— Hm — mruzczał — głupio było, głupio jest, głupio będzie. Takie serce, taka fortuna, a ta stara, z przeproszeniem, wariatka zagranicę wywiozła naszą panią mego szukać. Złapie jakiego świszczypałę, co oprócz podszewki nie w kieszeni mieć nie będzie, albo ten pokraka hrabia z nią się ożeni!.. Biedny pan Stanisław! Tak zbladł, ażem się przeląkł. Nie daj, Boże, co złego...

Pokiwał głową i poszedł do ogrodu — w cieniu lip zasnąć fraszobliwe myśli.

Stanisław tymczasem — pędził do Chronowa, majątku Rolskiego, bo do Kamieniec za niego teraz wrócić nie mógł. Cierpiał okropnie. Zazdrość, boleść, obrażona duma, szarpały nim

naprzemian. Teraz i on już nie mógł zrozumieć Lili. Kochała go, a uciekla bez pożegnania, ciągnąc za sobą hrabiego.

Rolski drgnął, przestraszony, gdy go zobaczył.

— Stachu! na Boga, jak ty wyglądasz? Co się stało? Czy matka chora? Czy p. Halina?

Stanisław rzucił się na sofę i zakrył dłonią oczy.

— O, jak ja cierpię — szeptał — jak cierpię! Ty nie wiesz... Ty nie nie wiesz... Lila... Lila wyjechała do Paryża!

— Al — ucieszył się Lucyan. — Więc to o nią idzie... Bogu chwała! Myślałem, że jakie nieszczęście... Bądźże mężczyzną, Stachu — rzekł, odejmując mu ręce od twarzy. — Więc cóż, że wyjechała? pogniwialiście się, czy co?

Stanisław zerwał się gwałtownie.

— Nie, nie. Czyż ja-bym mógł gniewać się na nią? Nie nie wiem... nie nie rozumiem... Pojechałem dziś właśnie oświadczyć się, i zastałem pałac pusty.

Zacisnął pięści z wściekłością.

— Hrabia... pojechał z niemi.

Zaczął biegać po pokoju, jak szalony.

— Powtarzam: bądź mężczyzną! — rzekł Lucyan, przyglądając mu się bacznie. — Jak widzę, miłość zrobiła z ciebie mazgaję, mój Stachu. Uczyniłaś ją wszechwładną panią swojego życia, jak gdyby poza nią nie istniały żadne inne obowiązki, żadne cele... Daruj, ale tego nie pochwalam. Odjechała, wybrała innego: więc cię nie kocha, i nie masz czego żałować. Powiem ci szczerze, że rad nieskończenie z tego, iż *bella* zdemaskowała się nareszcie. Od początku wiedziałem, że kochać nie umie, ale za to wybornie oblicza.

— To kłamstwo! — krzyknął Stanisław — kocha mnie. Wiem o tem!

— Trudny spór z zaślepionymi — rzekł Lucyan, ze złością rzucając cygaro. — Nie wiem, doprawdy, jakich więcej chcesz dowodów, że jest przeciwnie?

— Ona nie nie winna — powtarzał Stanisław uparcie. — Jest w tem jakaś intryga... Babka z Bińskim pokierowali całą sprawą.

— Zapewne! — odparł Rolski. — Mała, jeszcze w powijakach: pozwala sobą kierować! Wstydy się, Stachu! Słabość ducha to jedna z największych plag ludzkości. Cały szereg następstw pociąga za sobą, a jedno od drugich okropniejsze. Żal mi cię serdecznie. I ja umiem kochać i — kocham — dodał szybko, a w oczach zapaliły mu się płomienie. — Ale gdybym widział, iż moja wybrana nie odpowiada ideałowi kobiety, jaki w duszy wypieściłem, uciekłbym od niej jaknajdalej i mocował się z samym sobą do pomy, ażbym zniszczył, zabił w sobie wspomnienie o niej. Czy zastanowiłeś się nad tem: jakie może być życie z kobietą, która pragnienia swoje zamknęła w ciasnych szrankach osobistych wygod i przyjemności, z kobietą o płochym sercu i lekkim umyśle? Nie wesoło, wierzą mi! Gdy pierwszy szal przeminie, ockniesz się i — piolunowej goryczy długich lat wspólnego może życia nie ośłodzi kilka chwil upojenia.

Zamilkł na chwilę. Stanisław zacisnął dłonie rozpacznie.

— Robisz wiwisekcyę na mojem chorem sercu — rzekł. — Przyjacielska ma to być usługa, nie mogę się jednak zdobyć na to, abym czuł dla ciebie wdzięczność. Znadto podejrzliwy jesteś i za skory do sądów. Sąd pośpieszny, oparty na wyraźnej niechęci, nie może być sprawiedliwym. Nie wiem, co było między tobą a Lila, ale to wiem, że się nie lubicie.

— Każdy, kto patrzy głębiej i patrzeć umie, powie ci o Lili to samo — bronił się Lucyan. — Wyznam ci szczerze, że piękność jej i dla mnie nie przeszła bez wrażenia: zachwyciła mnie, gdy ją pierwszy raz zobaczył, odrzuciła, gdy poznał bliżej. My obaj należymy jeszcze do starej szkoły, przyjacielu! Cześć dla kobiet wzrastała z nami od lat dziecinnych. Rodzina, domowe ognisko, mają dla nas urok, i dlatego wymagamy dużo. Co prawda, dziś, wobec przewróconych pojęć, rozmiękzionych mózgów, zmateryalizowanych poglądów, takie poglądy, jak nasze, są

prostu abstrakcyą. Któż dziś mówi o miłości? Kto szuka szczęścia w małżeństwie? Spotka się dwoje ludzi, oblicza: ile współka korzyści dać może, i więcej nie im nie trzeba. Nie umiem wypowiedzieć, jak bolałem nad tem, że ty, Stachu, tak nieszczęśliwie ułokowałeś swoje uczucie. Matka, jak słyszałem, z motylego rodu, niech z Bogiem spoczywa; babka patrzy na świat oczami zepsutego do gruntu podlotka, i to młode pisklą, zaród lekkomyślności nosi w sobie od urodzenia a spazzone wychowanie wyplenilo zdrowe ziarnko, jeżeli były jakie.

— Skończ już, mój drogi! — prosi Stanisław, patrząc niechętnie na przyjaciela. — Wpadłeś w kaznodziejski zapał... a mnie to nie przekona. Zaszła tu jakaś intryga, powtarzam, a pewności, że Lila mnie kocha, nikt mi nie odbierze.

— I hrabia żywi to samo przekonanie, — rzekł Lucyan — Dałbym sobie głowę uciąć, jeśli tak nie jest...

Stanisław był okropnie wzburzony. — Jak ty mnie dręczysz! — szepnął. — Nie możesz widocznie pojąć, że ja tę kobietę ponad wszystko ukochałem. Przypomnij sobie, jak niejednokrotnie śmiałeś się ze mnie, wyrzucając mi purytanizm, sentymentalność i marzycielstwo. Takim sentymentalnym marzycielem pozostanę nazawsze. Kochać mogę raz tylko i bardzo głęboko; bawić się lekkomyślnie z kobietą nie umiem.

— Wiem to, i dlatego złorzeczę sobie, że cię zawiózł do Zagórowa, — rzekł Lucyan.

— Byłbym się tam i tak znalazł, — odpowiedział Stanisław, uśmiechając się smutno. — Przeznaczenie byłoby mnie popchnęło...

— Przeznaczenie? Fatalistą chyba nie jesteś! Nad wszelkie przeznaczenia wola nasza jest silniejsza. Tak być powinno przynajmniej.

— Dosyć, dosyć przyjacielu, — zawołał Stanisław. — Ranileś mię z bezwzględnej okrucieństwa, jakbyś się najgwałtował z mojej boleści. Przebaczam ci, ale proszę: niech już mowy o tem pomiędzy nami nie będzie.

— Zgoda, — odparł Lucyan ściskając, dłoń przyjaciela. — Przyrzecz mi tylko jedno. Matka bardzo cię kocha i dręczy się... nie okazuj się przygnębiem, zgorzkniałym. Otrząśnij się po-męzku i niech duma zapomnieć ci każe o kobiecie, która cię zwodziła.

Siwe oczy Stanisława, spojrzwały na Lucyana z beznadziejnym smutkiem.

— Nie potrzebujesz mówić mi o tem, — szepnął — Sam to czuję! Cóż zrobić jednak, gdy zapamiętałaś nad swoją boleścią nie mam siły!

— Otóż i w tem całe złe się mieści, — rzekł Lucyan biorąc go w objęcia. Żal mi cię, biedaku!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga iż departament poczt i telegrafów postanowił zaprowadzić żelazne słupy telegraficzne ze względu na koszt i trud odnawiania słupów drewnianych.

— Według kosztorysu wszechrosyjskiej wystawy w Niższym Nowogrodzie rząd wzniesie wszystkie budynki wystawowe, przeniesione z Moskwy po wystawie w 1882 r., oraz udzieli subsydjów na wystawienie teatru, mostu pontonowego i elektrycznego oświetlenia miasta.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż schemat obniżki taryf pasażerskich na kolejach po ostatecznem przerobieniu go w departamencie kolejowym poddany zostanie obradom rady państwa w jesieni bieżącego roku, z tem postanowieniem, aby nowe taryfy mogły być wprowadzone w wykonanie od d. 13 stycznia 1895 r.

— Album fotograficzne widoków Wilna wyszło nakładem wileńskiej księgarni Józefa Zawadzkiego; zawiera ono dwadzieścia pięć widoków sta-

rannie odtworzonych. Cena rubel jeden i coś drobnym.

— Donoszą z Nieświeża o wzmożeniu się z wiosną wychodźstwa przeważnie do kraju Przylądka (Kapland). Namawiają do tego ludność miejscową wychodźcy dawniejsi, którzy powracają aby nakłaniać lud nieświadomy rzeczy do emigracji, co jest sprawą ludzi nieuczciwych, czyniących to dla zysku.

— Warszawskie muzeum etnograficzne otrzymało od p. Henryka Wiercińskiego dar znaczny: bogatą kolekcją różnych osobliwych przedmiotów i wykopalisk, przywiezionych z Syberyi i Japonii.

— P. Julian Schmitt z Sieradzkiego wniósł prośbę, aby mu dozwolono było odbywać próby z przyrządem do latania w powietrzu jego własnego wynalazku.

— Koncert dany przez Tow. Muzyczne na rzecz wzniesienia pomnika Szopenowi przyniósł przeszło 3.000 rs.: potrzeba jest jeszcze 1.000 rs., które niewątpliwie da koncert urządzony znowu przez Tow. Muzyczne, a w którym Paderewski ma wziąć udział. Szopen ma jedynie na paryżkim cmentarzu Pere Lachaise kamień grobowy, a serce jego, sprowadzone przed osiemnastu laty do Warszawy staraniem Tow. Muzycznego, spoczywa w kościele Ś-go Krzyża, w urnie, po nad którą mieści się tablica z białego marmuru, ozdobiona napisem złocnym, który obwieszcza, iż urodzony w 1809 r., w Woli Żelazowej, zamknął oczy w Paryżu 1849 r. Popiersie jego wykuł Rygier, a w 1891 r. Tow. Muzyczne zapragnęło też wtedy urządzić muzeum pamiątek po mistrzu na miejscu jego urodzenia i wnieść mu tam pomnik; zawiązał się też w tym celu komitet, który składają p.p. Bronisław Żochowski, kierujący budową pomnika, oraz twórca jego planu, Wojdyga autor modelu płaskorzeźby, na której odtworzy bezinteresownie rzeźby mistrza, Fr. Olszewski, Marian Gawalewicz, Czesław Jankowski, oraz Fr. Kuczyński, właściciel Gawartowej Woli, graniczącej z Wolą Żelazową, a którego staraniem ziemianie okoliczni dostarczyli kamieni na fundamenta pod pomnik. Wojdyga stosować się będzie w modelowaniu płaskorzeźby do biustu Rygiera i portretu malarza Bovy. Ozdobami będzie tu lira z palmami w stylu greckim, napis ograniczyć się do nazwiska i trzech dat; koszt pomnika wyniesie 4.000 rs.

— Rząd bawarski zakupił do Pinakoteki w Monachium ostatni z wykonanych obrazów Brandta, co stało się powodem gwałtownych artykułów dziennikarskich, iż rząd nabywa dzieła obcego pendzla. Wtedy artysta nasz uniesiony szlachetną dumą ofiarował kasie wzajemnej pomocy malarzy monachijskich 6.200 marek, które za obraz otrzymał.

— Popiersie Fryderyka Smetany, dłuta czeskiego rzeźbiarza Myslbecka zostało ustawione w przedsiomku Narodowego Teatru w Pradze, a rzeźbiarz Szantrucek wykonał znaczną ilość medalionów mistrza. Odlewy gipsowe tak medalionów, jak popiersia rozkupowane są setkami.

— Książę Michał Radziwiłł i hr. Starzyński powzięli zamiar wydania zbioru rycin, przedstawiających pieczęcie i herby miast, do czego dodawane będą opisy.

— Organizuje się w mieście naszym zbiorowa wycieczka do Ojcowa, Miechowa, Sandomierza i wzdłuż brzegów Wisły od tego ostatniego miasta z powrotem do Warszawy, mieszczące w planie zwiedzenie gór Święto-krzyżkich. Wyprawa ma trwać około dwóch miesięcy a koszt nie przecho- dzić 50 rs., na miesiąc. Część drogi ma się odbyć pieszo; inicjatorem jest tu p. Antoni Ojrzynski.

— Na odpust do Częstochowy pośpieszyły z naszego miasta liczne tłumy ludzi, a zarząd kolei urządził też, jak zwykle, specjalne pociągi dla

tych pątników. W piątek wyruszył pociąg pierwszy a oprócz mieszkańców naszego miasta zebrała się znaczna liczba ludności ze wsi i miasteczek ciągnących tam kompaniami. Najliczniejsza kompania przybyła z pod Tomaszowa Lubelskiego. Ogółem biorąc pielgrzymki tegoroczne były szczególnie liczne.

— Hr. Krasieński Ludwik nabył od hr. Gordona za rs. 70.000 dobra Czajowice, obejmujące 860 mórg gruntu a stanowiące przedłużenie uroczej doliny ojcowskiej, której piękności odtworzone są pendzlem jednego z malarzy naszych.

— W salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych wystawionym został portret naturalnej wielkości lekarza Feliksa Sommera, wykonany przez malarza Wiśniewskiego; zostanie on wkrótce wysłany na wystawę do Krakowa a następnie umieszczony w miejscowym muzeum jako dar nieżyjącej już obecnie p. Eufrozyny z Kostrzyckich Beliny-Leszczynskiej. Dr Sommer łagodził ciężkie cierpienia tej pani z poświęceniem i troskliwością wielką, zapragnęła więc wyrazić mu wdzięczność swoją w ten sposób.

— Najbogatszym na świecie zbiorem książek jest paryżka Biblioteka Narodowa. Katalog książek i rękopismów, który ma wkrótce być wydany w druku, obejmuje 80 tomów *in quarto*, podających przeszło półtora miliona tytułów.

— Wieża w Ulm, której budowa, rozpoczęta w 1890 r., została obecnie wykończoną, ma 164 metrów wysokości, jest zatem po wieży Eiffel najwyższą budową na świecie, gdyż pomnik Waszyngtona wznosi się na 159 metrów, Katedra Kolońska na 156, piramida w Gizeh na 151 metrów w górę. Od pierwszego Maja wieża w Ulm została przystępną dla publiczności, która po wygodnych schodach dostaje na te wysokości dzielące się na trzy części. Piętro pierwsze kończy się na 382 stopniu galerią czworokątną; na piętro drugie wchodzi 168 stopni, do najwyższego, już pod samą kopułą, dostaje się ciekawy podróżnik po 203, a przebywa się tę przestrzeń w przeciągu trzydziestu do czterdziestu minut, zatem w półgodziny, lub półgodziny i minut dziesięć. Z galerii najwyższej, na wysokości 148 metr. po nad ziemią może widzieć wspaniałego widoku na okolicę naddunajską, na Szwabią Górą, na Alpy, które błyszcą w oddali lawinami wiecznych śniegów.

KOLONIE LETNIE

dla ubogich słabowitych dzieci

w Warszawie.

Powodzenie zobowiązuje, pobudza i zachęca do nieustawiania w spełnianiu uczynków miłosierdzia publicznego. Rok miniony odpowiedział pod każdym względem nadziejom grona osób zajmujących się urządzaniem kolonii letnich dla słabowitych dzieci ubogiej ludności miasta Warszawy, z dobrodziejstw świeżego powietrza korzystało 1.368 dzieci.

Obecnie po przeprowadzeniu troskliwego badania lekarskiego uznano, iż z liczby kilku tysięcy dzieci zapisanych, najmniej 1.800 bezwarunkowo wysłać wypadnie na pobyt wiejski. Grono kolonii letnich otrzymawszy pozwolenie p. o. J. W. Pana General-Gubernatora z d. 5/17 Kwietnia b. r. za Nr 3668, za przykładem lat poprzednich odzywa się gorąco do ofiarności publicznej, w tem głębokim przekonaniu, że ludzie zamożniejsi ręki szlachetnej uchylić nie zechcą od popierania instytucji, która z drobnych zawiązków tak bujnie rozwinąć się potrafiła, dzięki czynnemu współdziałaniu ludzi dobrej woli, nieobojętnych na niedolę bliźnich naszych.

Ofiary, o ile możności przed początkiem Czerwca, składać należy na ręce skarbnika, dyrektora Aleksandra Czajewicza, w Dyrekcji Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy (Włodzimierska 21).

Do przyjmowania ofiar upoważnione są również osoby niżej wymienione oraz Redakcyje pism peryodycznych.

Emilia Brzezińska, Irena Karłowiczowa, Marya Krzycka, Leonia Natansonowa, Jadwiga Pawińska, Aleksander Czajewicz, Henryk Konie, Henryk Lubowski, Adolf Pawiński, Władysław Serafinowicz, Władysław Skłodowski, Julian Adolf Święciecki, Leon Tanenbaum, Julian Wieniawski.

Przewodniczący St. Markiewicz.

Do dzisiejszego numeru „Błuszcza“ dołącza się **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego, ark. 8 my.

Wydawnictwo GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

Maryan Gawalewicz i Piotr Stachiewicz

„KRÓLOWA NIEBIOS“

Legenda o Matce Boskiej.

Wydanie wytworne na pięknym welinie, w dużym formacie (in 4-o) ozdobione 12 heliograviurami, oraz drzeworytami podług kartonów Piotra Stachiewicza.

Przedpłata za całość rs. 5.

W prenumeracie 6 zeszytów po rs. 1, z przedpłatą na ostatni zeszyt.

Przesyłka, stosownie do odległości, za zaliczeniem.

Zeszyt 1-szy ukaże się w ciągu przyszłego miesiąca,
całość zostanie ukończoną w jesieni r. b.

Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą.

Po wyjściu dzieła cena zostanie podwyższoną.

Prócz powyższego wydania księgarnia Gebethnera i Wolffa przyjmuje zamówienia na

wyjątkową edycję „KRÓLOWEJ NIEBIOS“

w większym formacie, na zbytkownym papierze (édition de luxe), która wydana zostanie równocześnie w 100 egzemplarzach numerowanych w cenie rs. 10. (Znaczna część egzemplarzy już zamówiona).

TREŚĆ: Królowa Niebios, przez M. I. — Pogawędka, przez ?? — Kobieta w starożytnym Rzymie, przez Józefę Żdzarską. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my T. I, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 28 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 4 Мая 1894 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.